

PRZED EGZEKUCJĄ

HELEN PREJEAN
PRZED EGZEKUCJĄ

PRZEŁOŻYŁ
SŁAWOMIR MAGALA

AUTOR REPORTAŻU
MARIUSZ SEPIOŁO

Tytuł oryginału
Dead Man Walking

© 1993 by Helen Prejean
© Wydawnictwo WAM, 2018

Opieka redakcyjna: Damian Strączek, Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz
Korekta: Anna Śledzikowska, Dariusz Godoś
Projekt okładki: Jan Krzysztofiak
Skład: Dawid Adrjanczyk

ISBN 978-83-277-0787-1

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk: EKODRUK • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK White 70 g wol. 1.6
dostarczonym przez IGEPA Polska Sp. z o.o.

Moim Rodzicom, którzy kochali mnie przez całe życie

PRZEDMOWA DO NOWEGO POLSKIEGO WYDANIA

To istny cud, drogi Czytelniku, że trzymasz teraz w rękach tę książkę. Jest to pierwsza książka, jaką napisałam. Gdyby nie kompetentna pomoc doświadczonych redaktorów oraz pełnego poświęcenia wydawcy, Random House, moja książka nigdy nie ujrzałaby światła dziennego w Stanach Zjednoczonych, a tym bardziej w Polsce. W głębi serca zawsze ciepło myślałam o Polakach. Kocham moich polskich przyjaciół, którzy wnoszą wiele entuzjazmu i werwy w moje życie. Poza tym, z tego co wiem o Waszej historii, Polakom często przychodziło cierpieć z rąk prześladowców, a o swoje podstawowe prawa ludzkie i obywatelskie musieli toczyć ciężkie boje. Za to Was podziwiam. Widzę w Was także pokrewne dusze w walce, którą toczę w moim kraju o prawa obywatelskie. Tutaj urzędnikom państwowym wolno wybierać – w glorii prawa i za moralnym przyzwoleniem – tych obywateli, którzy umrą za swoje zbrodnie. Po wielu latach więzienia w małych celach będzie się ich przywiązywać pasami do krzesła i zabijać. Prawie zawsze ci, których wysyła się na śmierć, to ludzie ubodzy, których nie było stać na godziwą obronę. Prawie zawsze ich ofiarami są biali. Bardzo rzadko występuje się o karę śmierci, jeśli ofiarami byli ludzie o innym kolorze skóry. Ich śmierć wydaje się mniej ważna. Wszystkie amerykańskie instytucje są przesiąknięte

rasizmem – polityka, oświata, prawo oraz sądy, służba zdrowia i budownictwo mieszkaniowe – mimo że wybraliśmy czarnego prezydenta, Baracka Obamę. Nigdzie jednak rasizm nie jest tak widoczny jak w naszym systemie karnym, który przez ostatnie trzydzieści lat zapełnił więzienia i areszty ludźmi innej rasy. W moim rodzinnym stanie, Luizjanie, 70 procent więźniów stanowią Afroamerykanie.

Przyznaję uczciwie, że długo trwało, zanim przejrzałam na tyle, by dostrzec rzeczywistość, o której przeczytacie w mojej książce. Mimo że jestem katolicką zakonnicą i ślubowałam ubóstwo, trudno mnie zaliczyć do biedaków. Prawdę mówiąc, jestem kobietą uprzywilejowaną na dwóch frontach: ekonomicznym i kulturowym. Mój ojciec był wziętym adwokatem w Baton Rouge w Luizjanie, co zapewniło mi dostęp do najlepszych szkół oraz pozwoliło podróżować bez ograniczeń po Stanach, Kanadzie i Europie. Wychowywałam się w dużym domu, w którym była służba, i nigdy niczego mi nie brakowało. Muszę to powiedzieć jasno i wyraźnie: w byłym stanie niewolników urodziłam się jako biała dziewczynka. Na głębokim Południu kolor skóry ma bardzo duży wpływ na to, jakie kręgi społeczne stoją przed człowiekiem otworem (przede mną w gruncie rzeczy wszystkie, jakie chciałam) i jakie ma szanse na zrobienie kariery, którą wybierze (ja postanowiłam zostać nauczycielką w zgromadzeniu sióstr św. Józefa). W okresie dojrzewania – jako mieszkanka Południa, gdzie segregacja rasowa jest głęboko zakorzeniona – mieszkałam i obracałam się w środowisku złożonym niemal wyłącznie z ludzi białych, tak jak ja. Nawet zakon, do którego wstąpiłam, składał się wyłącznie z białych kobiet. Zanim się przebudziłam po pobudce wzywającej do sprawiedliwości społecznej, która leży u podstaw Ewangelii Jezusa, zwykłam po prostu modlić się

za ludzi biednych i nieszczęśliwych, brałam udział w zbiórkach charytatywnych, na przykład zapelniając kosze żywnością przed Świętem Dziękczynienia albo prezentami dla biednych dzieci przez Bożym Narodzeniem.

Niewątpliwie przebudziła mnie łaska przenaświętsza, która pozwoliła mi usłyszeć głośnie wołanie o sprawiedliwość, która mnie wyrwała z bezpiecznego, wygodnego przedmieścia i przeniosła na osiedla mieszkaniowe Afroamerykanów w centrum Nowego Orleanu. Dziełę się paroma wspomnieniami z tej podróży na pierwszych stronach *Przed egzekucją*, a obecnie kończę ośmioletni okres spisywania wspomnień – *Rzekę ognia*. Opowiadam tam o duchowej przygodzie mojego życia od dzieciństwa do chwili obecnej, przygodzie, która doprowadziła mnie do celi skazańców oraz do napisania książki *Przed egzekucją*. Redaktorzy w Random House nazywają moje wspomnienia wstępem do *Przed egzekucją*, bo faktycznie tak jest. Proszę mi wierzyć, całe moje życie rozwijało się pod wpływem łaski przenaświętszej. Mam nadzieję, że *Rzeka ognia* ujrzy światło dzienne jesienią 2017 roku. Wydawcą będzie Random House, który wydał też *Przed egzekucją* (1993) oraz moją drugą książkę *Śmierć niewiniątek* (2004), w której opisuję swoje osobiste rozmowy z papieżem Janem Pawłem II na temat katolickiej nauki wobec kary śmierci. Namawiałam Papieża, by umacniał moralny sprzeciw wobec tej kary. Amnesty International, moja pierwsza nauczycielka w kwestiach praw człowieka, postawiła sprawę jasno, odmawiając wszystkim, bez wyjątku, rządowi prawa do zabijania swoich obywateli za ich niektóre zbrodnie. Opiera ona swoje stanowisko na przekonaniu, że prawo do życia istoty ludzkiej jest niezbywalne po prostu dlatego, że jest istotą ludzką, a niezbywalność oznacza, że nikt, zwłaszcza

rząd, który siłą rzeczy bywa pełen uprzedzeń i wad, nie może go człowieka pozbawić.

W 1997 roku, kiedy prowadziłam rozmowy z Papieżem, w naukach Kościoła nadal utrzymywano, że rządy państw mają prawo legalnie i moralnie decydować o tym, czy należy skończyć życie obywateli uznanych za skrajnie niebezpiecznych dla społeczeństwa. Poza tym zauważyłam, że kiedy w katechizmie katolickim jest mowa o ludzkiej godności, zawsze łączy się ją z życiem bez winy. A co z winnymi? – zastanawiałam się. Pisząc list do Papieża, miałam za sobą uczestnictwo w egzekucji trzech osób, niemal zawsze winnych straszliwych zbrodni (poza dwoma mężczyznami w *Śmierci niewinnych*). Korzystając z szansy bezpośredniego dostępu do Papieża, napisałam tak:

„Czy nasz Kościół broni tylko godności niewinnych? Kiedy idę ze skazańcem na kaźń, Wasza Świątobliwość, kiedy skuto mu łańcuchami ręce i nogi, kiedy jest całkiem bezbronny i mówi, idąc obok mnie: «Siostró, pomódl się, proszę, by Bóg dał mi ustać na nogach», to myślę, gdzie jest godność w rozmyślnym uśmiercaniu bezbronnego człowieka, zwłaszcza że mamy przecież takie więzienia, które w przyszłości skutecznie ochronią społeczeństwo przed aktami przemocy?”.

Moja rozmowa z Janem Pawłem II została zapisana w *Śmierci niewinnych*, która w chwili obecnej jest niestety dostępna tylko po angielsku. Wiedząc jednak, jak głębokim szacunkiem cieszy się wśród was, Polaków, ten papież, który jest jednym z Was, a w dodatku został niedawno ogłoszony Świętym Janem Pawłem, chętnie bym ją Wam udostępniła.

Wracając do *Przed egzekucją* – wszystko, co działo się wokół tej książki, było zdumiewającym boskim cudem. Na rynek weszła w roku 1993, kiedy 80 procent Amerykanów było

za karą śmierci. Musiała stoczyć niemal beznadziejną walkę o to, by ją kupić i przeczytał choćby tuzin czytelników. Jednak dzięki poparciu Random House oraz odważnemu marketingowi książka trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa” i utrzymała się na niej przez 31 tygodni. Mało tego, w rekordowo krótkim czasie – już w grudniu 1995 roku – na ekrany wszedł film Tima Robbinsa z Susan Sarandon i Seanem Pennem, uzyskując cztery nominacje do Oscara (przyznano go Susan za rolę, w której grała mnie). Wręczenie Oscarów miało miejsce 25 marca 1996 roku, w święto Zwiastowania. Cóż to było za zwiastowanie – 1,3 miliarda ludzi na całym świecie śledziło tego wieczoru wręczenie nagród Akademii. O Boże. A energia, która została wówczas wyzwolona, nie wygasła, energia samego Ducha Świętego, która, jestem o tym przekonana, przeniosła moją książkę przez próg polskich domów.

Nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Ani bardziej wdzięczna polskiemu Wydawcy i Sławomirowi Magali.

siostra Helen Prejean

WSTĘP

Słyszałam, że opowiadania bywają ciekawe w dwóch wypadkach: kiedy kogoś niezwykłego spotykają banalne przygody albo kiedy zwyczajny śmiertelnik przeżywa nadzwyczajne tarapaty. Niewątpliwie mnie dotyczy ta druga możliwość. Nic nie podejrzewając, wypadłam z objęć zamożnej rodziny w samo centrum jednego z najbardziej złożonych i kontrowersyjnych zagadnień moralnych naszych czasów, a mianowicie zagadnienia kary śmierci.

Zaczęło się to w roku 1982, kiedy napisałam list do więźnia w celi śmierci w Luizjanie, a on odpisał. Tak zaczęła się moja dziesięcioletnia podróż, która doprowadziła mnie do komory egzekucyjnej w Luizjanie, a także do grup pomagających rodzinom ofiar morderstwa. Pierwsze kroki były naiwne. Trzeba było czasu – i błędów, aż udało mi się wypracować odpowiednią perspektywę moralną, która jest tematem niniejszej książki.

Wiele na jej stronach cierpienia. Nie można także zapominać, że mowa w niej o zbrodniach, które nie są do opisania. O wywołanym przez te zbrodnie gniewie, przerażeniu, żalu i ostrych sprzecznościach. Ale także o odwadze, o niewiarygodnej sile ludzkiego ducha. Przeżycia, które opisałam na kartach niniejszej książki, odmieniły mnie na zawsze.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy Chava Colon z Koalicji Więziennej zapytał mnie pewnego dnia w styczniu 1982 roku, czy nie zechciałabym korespondować ze skazańcem z celi śmierci, odpowiedziałam, że chętnie to zrobię. Zaproszenie dawało się pogodzić z moją pracą w parafii św. Tomasza na nowym osiedlu mieszkaniowym dla ubogich obywateli murzyńskich. Do celi śmierci nie było daleko. Śmierć jest tam wszechobecna: od broni palnej, od chorób, od nałogów. Służby zdrowia prawie nie ma.

Przyjechałam do św. Tomasza, by służyć biednym, więc pomyślałam, że skazańca w celi śmierci w Luizjanie też można zaliczyć do tej kategorii. Dowiedziałam się o tym z wykładu Johna Vodicka, jednego z założycieli Koalicji Więziennej w Luizjanie, gdzie pracuje obecnie Chava. Dowiedziałam się także, że karę śmierci zawsze najsurowiej wymierzano w stanach południowych i zazwyczaj tym, którzy zabili białych.

Biura Koalicji Więziennej mieszczą się niedaleko Domu Nadziei, gdzie uczę młodych ludzi, którzy nie ukończyli szkoły średniej, toteż dosyć często spotykam się z Chavą.

Podawasz mi nazwisko skazańca z celi śmierci, Chava dorzuca:

– Może powinienem ci wyznaczyć kogoś innego. To samotny facet i nie pisuje listów. Może wołałabyś kogoś, kto ci odpisze?

Ale już wypisał nazwisko, więc mówię:

– Nie zmieniaj. Niech zostanie.

Jeszcze nie wiem, że nazwisko na wąskim pasku białego papieru będzie moim paszportem do groźnej krainy, o której dotąd tylko czytałam w książkach. Patrzą na nie i na adres: Elmo Patrick Sonnier, numer 95281, cela śmierci, Więzienie Stanowe Luizjany, Angola.

Niemal wszystkie zabójstwa tutaj, w parafii św. Tomasza, to wynik eksplozji wybuchowej mieszanki: sytuacji bez wyjścia, narkotyków oraz broni palnej. Mimo to kiedy Chava opisuje, czego dopuścił się Sonnier, mrozi mi się krew w żyłach. Razem z młodszym bratem, Eddiem, 4 listopada 1977 roku porwali Davida LeBlanca i Loretę Bourque, parę kochanków parkujących w zaułku schadzek. Zgwałcili dziewczynę, po czym położyli młodych ludzi twarzą do ziemi i zabili ich strzałami w głowę.

Patrzą przerażona na jego nazwisko. Czy naprawdę mam ochotę poznawać kogoś takiego?

– Pochodzi z rodziny francuskich kolonistów z St. Martinville w Luizjanie – mówi Chava.

To sprawia, że morderstwa wydają się jeszcze bardziej odrażające, jako że St. Martinville, położone w samym sercu Acadiany, należy do najprzyjemniejszych, najbardziej gościnnych miejsc na świecie. Mówiący po francusku mieszkańcy podobnych miasteczek, zazwyczaj rolnicy albo rybacy, gotują smaczne posiłki, dzielą się plotkami albo przepisami, tańczą dwukrok albo zydeko. Lubią rozmawiać, nawet z nieznajomymi. Jeśli w ogóle zdarzają się morderstwa, to tutaj najmniej się ich można spodziewać.

Zastanawiam się, co mogę powiedzieć temu człowiekowi. Co on będzie miał do powiedzenia?

– Jeśli chcesz poczytać o tym przypadku – mówi Chava – to w biurze mamy dokumenty.

Zabieram kawałek papieru z nazwiskiem do mieszkania, które dzielę z pięcioma zakonnicami.

Rok wcześniej, w czerwcu 1981 roku, podjechałam małym brązowym furgonem załadowanym moimi osobistymi rzeczami do mieszkania pod numerem 519 na ulicy św. Andrzeja, modląc się w duchu, żeby mnie nie zastrzelono. Właściwie byłyśmy jedynymi białymi – w dodatku kobietami – wśród tysiąca pięciuset mieszkańców sześciu kwadratowych działek z kamienicami z beżowej cegły wepchniętymi między śródmiejską dzielnicę handlową i miejski park. Po spędzeniu w mieszkaniu na tym osiedlu pierwszej nocy napisałam w pamiętniku:

„Niewiele spałam. Hałas do trzeciej nad ranem. Ludzie stoją na rogu, gadają i piją. Jestem zdenerwowana, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Słyszałam strzał. Idąc spać, sprawdziłam, czy łóżko nie sięga do parapetu, na wypadek gdyby kula przebiła szybę. Czy to Nowy Orlean? Mam takie wrażenie, jakbym była za granicą”.

Przyjechałam do parafii św. Tomasza w ramach reformy Kościoła katolickiego, pragnąc dopomóc w rozwiązywaniu problemów sprawiedliwości społecznej dzięki wsparciu, jakie mam w swojej wierze. W roku 1971 biskupi z całego świata ogłosili na synodzie, że sprawiedliwość jest integralną częścią składową przesłania chrześcijan. Wczytując się w nauki Kościoła, widzimy, że nacisk na sprawiedliwość kładziono we wszystkich kolejnych encyklikach społecznych. Nie jest to łatwa lektura. Dokumenty te nazywano czasem dobrze strzeżonymi tajemnicami Kościoła katolickiego. Nie bez powodu. Przekonanie o konieczności walki o sprawiedliwość społeczną jest wywrotowe, ponieważ

sojusz z walczącą biedotą zawsze oznacza wyzwanie rzucane bogaczom oraz tym, którzy pilnują ich interesów. Słowa Dorothy Day, katolickiej działaczki społecznej: „Wspomagaj cierpiących, cierpko traktuj możnych”, to samo sedno chrześcijańskiej Ewangelii¹.

W 1980 roku moja wspólnota religijna, Zgromadzenie Sióstr Świętego Józefa z Medaille, poprzysięgła „stawać po stronie biednych”, ja zaś dołączyłam do innych mimo pewnych wątpliwości. Nie podobała mi się taka rewizja wiary mojego dzieciństwa, kiedy liczył się osobisty stosunek do Boga, spokój wewnętrzny, łagodność wobec bliźnich, niebo po dokonaniu ziemskiego żywota. Nie chciałam się angażować politycznie ani gospodarczo. W końcu byliśmy zakonnicami, a nie działaczkami opieki społecznej, poza tym niektóre strony rzeczywistości były dość oczywiste, na przykład przepaść dzieląca bogatych od biednych. Nawet sam Jezus Chrystus powiedział, że „biedacy zawsze będą wam towarzyszyć”. Poza tym wszystko było takie złożone, niejasne – na świecie panował zamęt – i każdy problem społeczny wywoływał następne. Jeśli się próbowało poprawić, powiedzmy, sytuację mieszkaniową biedaków, to wpadało się w bagno biurokracji i marnotrawstwa rządowych programów, rasistowskich reguł handlu nieruchomościami oraz finansowania hipotek, na domiar złego borykając się z bezrobociem.

Olśniło mnie w czerwcu 1980 roku. Pamiętam tę chwilę, gdyż zmieniła moje życie. Wspólnota, do której należałam, zebrała się w Terre Haute w Indianie, aby się zastanowić nad

1 Dorothy Day zakładała garkuchnie i schroniska dla biedoty w Nowym Jorku. Wydawała wraz z Peterem Maurinem gazetę, „The Catholic Worker” („Robotnik Katolicki”).

kierunkiem naszej posługi w latach osiemdziesiątych; głównym mówcą była siostra Marie Augusta Neal. Jako socjolog opisała rażące nierówności na świecie: dwie trzecie ludzkości żyje na progu albo poniżej progu przeżycia, podczas gdy jedna trzecia korzysta z obfitości dobrodziejstw. Zapytała, czy wiemy, że Stany Zjednoczone, których ludność stanowi sześć procent ludności świata, spożywają 48 procent dóbr wytwarzanych na świecie? I co mamy zamiar uczynić w obliczu tak rażącej niesprawiedliwości? Znała się na rzeczy, toteż starałam się znaleźć kontrargumenty: że przecież jesteśmy zakonnicami, a nie działaczkami opieki społecznej, nie zajmujemy się polityką. Wiedziała, o co mi chodzi. Stwierdziła, że zachowanie apolityczne albo neutralne wobec takiej niesprawiedliwości oznacza *de facto* podtrzymywanie *status quo*, co nie jest politycznie obojętne, gdyż oznacza opowiedzenie się po stronie ciemniejszych.

Sposób, w jaki przedstawiła przesłanie Jezusa, wywołał radykalną zmianę mojego punktu widzenia. Powiedziała, że według Ewangelii Jezus głosił biedakom Dobrą Nowinę, zaś istotnym jej składnikiem była wiadomość, że już nie będą biedakami. Oznacza to, że nie muszą godzić się pokornie z własną nędzą oraz cierpieniem jako wolą boską, lecz że mają walczyć o wszystko, co jest im niezbędne do życia, a co im się słusznie należy. Wyzwanie rzucone przez Jezusa tym, którzy biedakami nie byli – podkreślała – to zalecenie, by odrzucili własne bogactwo, by się podzielili swoim majątkiem z ubogimi.

Coś się musiało we mnie szykować na tę chwilę, ponieważ w nagłym przeblasku zdałam sobie sprawę, że moje życie duchowe było zbyt ulotne, zbyt abstrakcyjne. Wyszłam z sali i zaczęłam szukać biednych. W rok później przybyłam na osiedle mieszkaniowe w parafii św. Tomasza.

Dorastałam w Baton Rouge w Luizjanie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych w tak statecznej, kochającej rodzinie, jak tylko można sobie wymarzyć – matka i ojciec darzyli głębokim uczuciem dzieci, a z bratem Louie oraz siostrą Mary Ann mogłam się przekomarzać, spierać i kochać. Wyrastaliśmy w obszernym, dwupiętrowym domu, wykształcono nas w katolickich szkołach, podróżowaliśmy często po Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Europie.

Jako dziecko kłękałam co wieczór za namową Mamy przy łóżku, w modlitwie zawsze znajdowały się słowa „i za biedaków, którzy nie mają się gdzie położyć dziś wieczorem”. Ale ci biedacy żyli gdzieś na innym świecie, razem z Kopciuszkiem oraz Babą Jagą. Nie stykałam się nigdy z ludźmi biednymi.

Nie uważałam wówczas „kolorowych”, których zatrudnialiśmy, za biedaków. Byli po prostu ludźmi „kolorowymi”, którzy robili to, co do „kolorowych” należało, czyli pracowali dla białych, a mieszkali tam, gdzie mieszkają ludzie „kolorowi”, a więc w szopach na wsi albo w dzielnicy czarnuchów w mieście. Kiedy byłam małym dzieckiem, murzyńska para mieszkała w małym „domku dla służby”, na tyłach naszej posesji. Mężczyzna zajmował się ogrodem, kobieta w białym fartuszkun sprzątała dom. Nigdy nie korzystali z łazienek i zawsze jadali w kuchni. Do szkoły podstawowej, w której się uczyłam, uczyły wyłącznie białe dzieci, a w naszych kościołach Murzynom wolno było siadać wyłącznie w wyznaczonych ławkach z boku. Musieli też czekać, bo otrzymywali komunię na samym końcu. W autobusie siedzieli z tyłu, a przejawem wielkiej odwagi białego dzieciaka był marsz do końca autobusu i siedzenie wśród Murzynów przez pięć sekund. Nieraz dokonywałam takiego wyczynu, a potem biegłam zdyszana na przód do rozbawionych, rozchichotanych koleżanek.

Ale nawet kiedy byłam dzieckiem, coś mnie przyciągało do czarnych. Pamiętam, że kiedy miałam pięć lat, podeszłam pewnego razu do grupy czarnych robotników, których tata wynajął, aby usunęli pień z korzeniami sprzed domu. Patrzyłam i słuchałam, jak płynnie wymachiwali siekierami, mrużąc bluesowe piosenki oraz opowiadając sobie o kobietach, pijatykach albo odsiadaniu kary więzienia. Ich życie było tak surowe, tak przyziemne, tak niepewne, a jednak tak podniecające, tak ryzykowne, tak mocne. Byłam zafascynowana. Mama mniej. Dostrzegła mnie i kazała wracać do domu.

Miałam dwanaście lat, kiedy po raz pierwszy widziałam fizyczną przemoc przeciwko czarnej osobie. Razem z moją przyjaciółką i koleżanką z klasy Elise Gauthier jechałyśmy autobusem pewnego grudniowego dnia w 1952 roku, udawałyśmy się na Trzecią Ulicę po zakupy. Byłyśmy w siódmej klasie, wszystko nas śmieszyło, toteż świetnie się bawiłyśmy, jadąc autobusem i co chwila śmiejąc się z kolejnego dowcipu dwunastolatek. Autobus zatrzymał się i wszyscy wysiadali, kiedy Elise i ja usłyszałyśmy, jak kierowca wykrzykuje przekleństwa pod adresem młodej Murzynki, po czym wykopuje ją z autobusu na chodnik. Upadła na ręce i kolana, torebka otworzyła się, a monety rozsypały. Nie powiedziała ani słowa, nawet nie spojrzała na kierowcę autobusu, po prostu wstała i odeszła.

Czułam się okropnie. Moi rodzice nigdy nie zachowywali się podle wobec Murzynów, choć nie kwestionowali systemu dyskryminacji rasowej, który przenikał każdy aspekt ich życia. Tato reprezentował jako adwokat interesy paru Murzynów, pobierając od nich tylko po pięć dolarów za swoje usługi, pomógł nawet paru rodzinom kupić nieruchomości, dorobić się własnych domów. Długo trwało, zanim sobie uświadomiłam, jak system

nasączał życie ludzkie cierpieniem i bólem, zanim zrozumiałam, że uprzejmość w niesprawiedliwym systemie nie wystarcza.

Tutaj, w parafii św. Tomasza, nauczyłam się wiele o systemie i ludziach w nim żyjących, tutaj, w tym stanie, w którym statystyka wskazuje na najgłębszą nędzę w całym państwie, gdyż mieszkańcy przynoszą średnio rocznie do domu 10 890 dolarów zarobku, połowa dorosłych obywateli nie ukończyła szkoły średniej, jedna osoba na sześć otrzymuje kupony żywnościowe, jedno na troje dzieci rodzi niezamężna matka, zaś pod względem liczby najcięższych przestępstw rejon zajmuje dziewiąte miejsce w kraju.

Spotykam siedemnastoletnie dziewczyny, które mają już jedno albo dwoje dzieci. Nie mają szans na studia, starość na Florydzie, zawodową karierę, niezależność oraz mobilność, jakie daje samochód, stanowią łatwy łup dla pierwszego lepszego młodzieńca, który rzuci na nie okiem. Szesnastoletnia Lily kołyszę zawinięte w koc maleństwo, jak gdyby bawiła się lalką. Opowiada mi typową historię o tym, jak bardzo chciała dziecka, żeby wreszcie mieć coś własnego.

Z papierem i ołówkiem w rękę pomagam Shirley, samotnej matce, wyliczyć, jak związać koniec z końcem, żyjąc z jednego czeku AFDC (Aid for Families with Dependent Children, czyli Pomoc Rodzinom z Dziećmi na Utrzymaniu) – 138 dolarów miesięcznie plus kupony na żywność za 123 dolary. Widzę, jak zмага się ze sobą, obliczając, czy powinna zrezygnować z czeku i podjąć pracę, co oznacza także utratę *medicaid*, jedynego ubezpieczenia zdrowotnego dla dziecka. Płaca kasjerki w supermarkecie jest najniższa ze wszystkich, a w dodatku byłaby zatrudniona w niepełnym wymiarze, na 35 godzin tygodniowo (tak postępuje większość supermarketów w mieście), co oznacza,

że nie może liczyć na dodatkowe ubezpieczenie zdrowotne ani naliczanie emerytury. Mieszkańcy parafii św. Tomasza zatrudnieni w pełnym wymiarze godzin zazwyczaj otrzymują płace minimalne, co oznacza mniej więcej 35 dolarów miesięcznie ponad poziom zasiłku AFDC (państwowy urząd statystyczny wyliczył, że pobierając minimalną płacę na pełnym etacie, zarabia się 8840 dolarów rocznie). Ponadto samotne matki, takie jak Shirley, które wybiorą pracę zamiast zasiłku, muszą opłacać dodatkowo opiekę nad dzieckiem, rachunki lekarzy, wyższy czynsz (proporcjonalne do zarobków) oraz dojazdy do pracy. Zawsze mi się wydawało, że podejmując pracę, dźwigamy się z nędzy. Teraz zaczynam rozumieć, co oznacza ubóstwo mimo stałej pracy. (W 1989 roku 37,3 miliona pracujących Amerykanów, którzy płacili 39 procent wszystkich podatków, otrzymywało wynagrodzenie poniżej 15 tysięcy dolarów rocznie).

Podczas kolacji słucham opowiadań siostry Teresy St. Pierre o trzy- i czterolatkach z jej grupy przedszkolnej, które nie znają takich słów, jak: „ponad”, „sałata” albo „kanapa”. Większość tych dzieci znajdzie się w przepełnionych, pozbawionych dostatecznej obsady nauczycielskiej, słabo wyposażonych szkołach, a każde dziecko na czole będzie miało wypisane: „odpadł w trzeciej klasie”.

Widzę, jak łatwo nastolatek może rozprowadzić woreczek kokainy tylko na jednej ulicy, zarabiając bez wysiłku dwadzieścia dolców. Gdyby je zarobił po szkole albo w ramach pracy letniej, jego dochody odjęto by od czeku opieki społecznej, który otrzymuje matka.

Zszokowana, nie wierząc własnym oczom, widzę, jak paczuszki białego proszku sprzedaje się jawnie na ulicy, na której ani śladu policjanta. Siostra Lory Schaff, która otworzyła Dom

Nadziei w 1969 roku, opowiada o spotkaniu z wysokim urzędnikiem magistratu, z którym podzieliła się swoimi zastrzeżeniami wobec jawnej sprzedaży narkotyków w parafii św. Tomasza. Usłyszała w odpowiedzi: „Cóż, siostró, wiemy, że gdzieś te narkotyki muszą sprzedawać. Tak jest w każdym mieście. My przynajmniej wiemy, gdzie to robią”.

Zauważyłam też, że kiedy zostaje zabity mieszkaniec parafii św. Tomasza, gazety ledwo to odnotowują, podczas gdy informacje o zabójstwie białego obywatela trafiają na pierwsze strony. Najbardziej przerażające jest jednak podejście policji do mieszkańców naszej okolicy. Wciąż z wielu opowiadań dowiadujemy się o nowych incydentach, o ludziach, zwłaszcza młodych mężczyznach, których się zatrzymuje, obrzuca obelgami, zakuwa w kajdanki, bije, czasem zabija. Sama widziałam takie sceny, widziałam, jak młodych ludzi rzucano brutalnie na policyjne samochody, zakuwano w kajdanki, wpychano do środka i odjeżdżano. Jeden krzyknął do mnie oraz do drugiej siostry przyglądającej się temu z niedowierzaniem: „Siostry, biorę was za świadków. Nie mam narkotyków. Oni mi je wepchną do kieszeni. Nie mam narkotyków”. Z badań Ministerstwa Sprawiedliwości w latach 1984–1990 wynika, że na policję w Nowym Orleanie skarżono się znacznie częściej niż w innych miastach. Przypomina mi się wiersz Langstona Hughesa:

Murzyni
Łagodni i posłuszni
Pokorni, cisi i przyjaźni
Strzeżcie się dnia
Gdy zapragną kaźni... (tłum. S. M.)

Tymczasem widzę, jak prezydent Reagan obcina fundusze na pomoc dla ciężarnych kobiet i samotnych matek, dotacje do czynszów, kształcenie zawodowe, kupony żywnościowe. A w miarę zmniejszania programów pomocy społecznej buduje się coraz więcej nowych więzień. Od roku 1975 do 1991 w stanie Luizjana liczba więzień dla dorosłych wzrosła z trzech do dwunastu, zaś liczba więźniów zwiększyła się o 249 procent. W latach osiemdziesiątych Luizjana zajmowała co roku pierwsze, drugie albo trzecie miejsce pod względem liczby (proporcjonalnie do liczby obywateli) zamykanych w więzieniach osób. Roczny koszt utrzymania więźnia wynosi 15 tysięcy dolarów, co nie obejmuje kosztów budowy więzienia, wynoszących średnio 50 tysięcy dolarów za każde łóżko w celi. Gwałtowny wzrost liczby więzień w Luizjanie jest typowy dla całego kraju. W 1980 roku za kratkami siedziało pół miliona Amerykanów, w 1990 – 1,1 miliona (najwyższy procent na świecie). Jeśli się uwzględni system zwolnień przedterminowych oraz wyroków w zawieszeniu, to w 1990 roku w Stanach Zjednoczonych wymiar sprawiedliwości objął postępowaniem średnio jednego na 43 dorosłych obywateli, jednego na 24 mężczyzn oraz jedną na 162 kobiety, co kosztowało 20 miliardów dolarów. W latach 1981–1991 rząd federalny zmniejszył fundusze na szkolnictwo o 25 procent, a zwiększył wydatki na wymiar sprawiedliwości o 29 procent.

W więzieniu siedzą członkowie niemal każdej rodziny z parafii św. Tomasza. (W 1989 roku jeden na czterech czarnych mężczyzn w grupie wiekowej 20–29 lat wszedł w konflikt z wymiarem sprawiedliwości). Jak to określiła jedna z kobiet: mężczyźni opuszczają nas w wozie policyjnym albo w karawanie.

Miałam poczucie, że weszłam na pole bitwy albo znalazłam się za granicą, w kraju, w którym natrafiłam na nieznane mi dotąd języki, prawa oraz obyczaje.

„To nie jest dobre miejsce do wychowywania dzieci – mówi do mnie matka z oczyma błyszczącymi od gniewu. – Ale dokąd mam pójść? Dokąd mogę się przeprowadzić, żeby mnie było stać na czynsz i opłaty za elektryczność? Czuję się tu jak w rezerwacie”.

Ale to właśnie od niektórych mieszkańców uczę się nie tracić nadziei. Przypominają mi te dzielne małe kwiatuszki, które wyrastają w pęknięciach asfaltu.

Oto nastolatek, który dorabia po szkole w drogerii, pomagając samotnej pracującej matce kupować ubranie dla młodszych siostr. Oto dwudziestodwuletni młodzieniec, który po krótkim pobycie w lokalnym więzieniu regularnie uczęszcza na zajęcia ośrodka kształcenia dorosłych i uczy się czytać na poziomie piątej klasy. Oto młoda kobieta, której matka pracowała na dwóch etatach po to, żeby córka mogła pójść na studia. Oto były więzień, który organizuje klub dla chłopców z okolicy. Oto młody wykształcony mężczyzna, który pomaga nastolatkom organizować programy samopomocy.

Myślę o ludziach uprzywilejowanych w wychowaniu i wykształceniu, co kiedyś uważałam za całkiem naturalne: sama potrafię przeczytać dowolnie wybraną książkę i będę w stanie ją zrozumieć. Umieję napisać okrągłe zdanie z poprawną interpunkcją. Jeśli potrzebuję pomocy, wiem, jak się zwrócić do sędziów, adwokatów, księży. Zastanawiam się, jak by to było, gdybym nie miała takich osłon ani podpórek? Jakie rysy ujawniłyby się w moim charakterze? Dlaczego uważam, że nie zaszałabym w ciężę, mając lat siedemnaście? W jakim stopniu przestrzegaliśmy prawa?

W tajemniczy sposób moje życie i praca w parafii św. Tomasa zbliżają mnie do rzeczy najistotniejszych, wyzwalają mojego

ducha. Nawet życie bez klimatyzacji jest dla mnie korzystne. Intensywny upał spowalnia. Robisz tylko to, co konieczne. Odczuwasz wdzięczność za nikły podmuch, szukasz cienia drzew. Doceniasz chłodną kąpiel, wodę z lodem. Proste rzeczy. Dobrze. Po raz pierwszy w życiu mam także okazję cieszyć się przyjaźnią czarnych. Zdaję sobie sprawę z tego, o ile uboższe było moje życie wyłącznie w kręgu ludzi białych jak ja.

Nie idę jednak z duchem czasu. Mamy lata osiemdziesiąte, kiedy aktywiści z lat sześćdziesiątych mają rzekomo przeżywać „wielkie ochłodzenie”, a ja tymczasem właśnie rozgrzewam się przed akcją.

Czytuję takich autorów, jak Gandhi, Alice Walker, Albert Camus, Dorothy Day oraz Martin Luther King, toteż zmieniają się nawet moje modlitwy. Kiedyś prosiłam Boga o to, by naprawił krzywdy i pocieszył cierpiących. Teraz wiem – naprawdę wiem – że to nam Bóg powierzył takie zadania.

Otrzymawszy nazwisko skazańca z celi śmierci od Chavy, jeszcze tego samego dnia po kolacji piszę doń pierwszy list. Mój nowy korespondent jest białym mężczyzną, potomkiem francuskich emigrantów ze St. Martinville. To niespodzianka. Byłam pewna, że będzie Murzynem. Opowiadam panu Sonnierowi trochę o sobie, o tym, gdzie pracuję, i dodaję, że jeśli nie chce, nie musi odpisywać, bo ja i tak będę do niego pisała.

Posyłam mu trzy fotografie. Jedna to moje zdjęcie na kucyku w lesie (jedyne, na którym widać mnie samą, a Chava powiedział, że mam je załączyć do pierwszego listu). Poza tym wysyłam kolorowe zdjęcie niebieskiej, błyszczącej wody w Zatoce Świętego Louisa w Missisipi oraz obraz Chrystusa na krzyżu.

Zatrzymuję się, adresując kopertę. Co to za adres: cela śmierci! Jak się czuje człowiek, który mieszka na ulicy Oczekujących

na Śmierć? Jak się czuje człowiek, który dopuścił się czynu naprawdę złego, naprawdę okrutnego, niepowetowanego? Jeśli kogoś zranię, nie mogę siebie znieść. Okropnie się czułam w ósmej klasie, kiedy całą gromadką w trakcie prywatki zadzwoniliśmy do otylej koleżanki po to, żeby ją wyśmiać. Jako ośmioletnia dziewczynka miałam koszmarnie sny po tym, jak pomogłam chłopakom z okolicy torturować borsuka, którego złapali. Chciałam pokazać, że jestem równie twarda jak chłopaki i też uderzałam go kijem, kiedy przysłała na mnie kolej, aż poszła mu krew z pyska. Całą noc dręczył mnie sen o zakrwawionym łebku. Może jakieś małe borsuczki czekały, aż matka wróci z pożywieniem.

Ale to moja wrażliwość, nie Sonniera. Może nie dba o to, czy sprawia ból innym. Może nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że rodziny jego ofiar, obciążone pamięcią o zamordowanych najbliższych, na zawsze znalazły się w „celi śmierci”. Może gwałt przychodzi mu łatwo. Jak zwierzęciu.

Zaklejając kopertę, zastanawiam się nad jego dwiema młodymi ofiarami, myślę o ich rodzicach. Nie potrafię sobie wyobrazić bólu po stracie dzieci w wyniku przypadkowego morderstwa. Jakże cierpiałyby moja matka, gdyby zabito Mary Ann, Louie albo mnie. Wolałyby sama umrzeć. Biedni rodzice. Zastanawiam się nad tym, jak mogłabym ich pocieszyć. Te morderstwa miały miejsce pięć lat temu, więc przypuszczam, że Bourque'owie oraz LeBlancowie pogodzili się już z cierpieniem i nie palą się do rozmowy z kimś, kto nawiązuje przyjazne stosunki z mordercą ich dzieci. Lloyd LeBlanc będzie mi później czynił wyrzuty za to, że nie zwróciłam się do niego już na samym początku, a rodzina Bourque'ów poczuje się urażona na wieść o tym, że mordercą ich córki zajął się „Kościół”. Goldie Bourque pytała dziennikarza, dlaczego nie przyszłam i nie porozmawiałam z jej rodziną,

dlaczego nie chciałam zrozumieć, co przeżywają. Obie rodziny spotkam za półtora roku na posiedzeniu komitetu rozpatrującego możliwość ułaskawienia Pata Sonniera, na parę dni przed egzekucją. A za parę lat Elizabeth i Vernon Harveyowie, których córkę Faith zamordował Robert Lee Willie (inny skazaniec z celi śmierci, z którym także się zaprzyjaźniłam), zaprowadzą mnie na zebranie rodzin ofiar, na którym znajdę sposób, by pomóc także im. Ale to jeszcze nie teraz.

W tydzień po wysłaniu listu do Sonniera otrzymuję list z Więzienia Stanowego Luizjany w Angoli. List został wysłany przez władze więzienne, które zwracają mi uwagę, iż nie przestrzegam przepisów dotyczących rozmiaru zdjęć, jakie wolno załączać do listów do więźniów. Zdjęcia Chrystusa oraz zatoki okazały się za duże i dlatego zostały odesłane z powrotem.

Parę dni później otrzymuję następny list z Angoli. Pochodzi od człowieka, który podobno nigdy nie odpowiada na listy.

Sonnier pisze, że rzeczywiście chciałby, żebyśmy pisywali do siebie. Próbował sam sobie radzić, doszedłszy do wniosku, że i tak umrze, więc nie ma sensu nawiązywać z kimś bliższych relacji. Ale „jest za ciężko” i, owszem, moje listy będą mile widziane. Pisze, że początkowo sądził, iż strażnik się pomylił, wrzucając list na podłogę jego celi. Któż mógłby do niego napisać? Helen? Czyżby dostrzegł imię „Helen” w narożniku koperty? Jego była „stara”, Helen? Nie chciał z nią mieć do czynienia. Nie układało im się. Gdyby list był od niej, podarłby go, nie otwierając. Siostra Helen? Zakonnica? Nie lubił zakonnicy, które uczyły go katechizmu w szkole. Linijka często spadała na jego rękę i palce.

Szydercza ironia każe mi się uśmiechnąć.

– Kim jest Bóg?

Pac, pac, pac.

– Bóg jest miłością. Zapamiętajcie to sobie.

Pac, pac.

Mówi, że się roześmiał, widząc moje zdjęcie na kucyku. Czy biedny kucyk aż tak się ugiął pod moim ciężarem? Tamte zakonnice nosiły habity. Czy ja też?

Pyta, czy możemy rozmawiać ze sobą normalnie. Miał duchowego doradcę, który przemawiał do niego „językiem Pisma Świętego”. Nie potrafił odpowiadać w podobnym duchu, toteż rozmowy wkrótce zarzucono.

Jasne, możemy rozmawiać normalnie. Pisze, że tylko tak umie rozmawiać z ludźmi.

Wkrótce pisujemy do siebie regularnie i zaczynam o nim myśleć jako o ludzkiej istocie, mimo że ani na chwilę nie potrafię zapomnieć o jego zbrodni. Nie potrafię też pogodzić wizji tego potomka francuskich emigrantów pisującego do mnie na dużym luzie z wizją okrutnego mordercy dwojga bezbronych nastolatków. Czasami dołączam do listów wycinki z gazet o wydarzeniach na świecie, czasem komiksy. On opowiada mi o tym, jak urządza sobie celę. Dwadzieścia trzy godziny na dobę spędza każdego dnia w przestrzeni dwa na trzy metry. Na bocznej ścianie prycza, na tylnej ścianie metalowa muszla i zlew, a nad zlewem gładka stalowa płyta zamiast lustra. Swój dobytek trzyma w skrzynce na buty pod pryczą. Wykorzystuje tę skrzynkę jako hantle. Mówi, że trudno nie przybrać tu na wadze. Dużo ziemniaków, ryżu, naleśników i fasoli. Wypuszczają go z celi na godzinę dziennie (o różnych porach dnia, najwcześniej o piątej rano). Wolno mu wtedy odwiedzić pozostałych

jedenastu więźniów na piętrze, jeśli zechce, ale stosunki między nimi bywają napięte. Jeśli więzień jest ci wrogi, wyjaśnia, może chlusnąć wrzątkiem przez kraty celi albo cisnąć w ciebie baterijkami wyjętymi z radia bądź odchodami.

Pisze, że trzyma się na uboczu, że z więźniem z sąsiedniej celi trudno się czasem dogadać. Ten facet jest czarny i wszędzie węższy rasizm. Kłóć się.

Zauważam, że jego listy mają na kopertach mały czerwony stempel zamiast znaczka. Dowiaduję się, że otrzymuje dwie takie koperty na tydzień. Nie wolno mu pracować z innymi więźniami, a więc nie zarabia. Gdyby mu pozwolono pracować, zarabiałby dwa i pół centa na godzinę. (Zniesienie niewolnictwa w trzynastej poprawce do konstytucji nie obejmuje więźniów²). Pytam, czy mogę mu wysłać znaczki. „Naturalnie – odpowiada – wtedy będę mógł częściej do ciebie pisać”. Zaczyna rysować na kopertach aligatory, kaczki, wiewiórki.

Dowiaduję się, że jego matka mieszka w St. Martinville, ale rzadko go odwiedza. „Podupała na zdrowiu, trudno jej tutaj dojechać”, pisze, usprawiedliwiając ją. Jego młodszy brat Eddie też jest w Angoli, odsiaduje dożywocie.

Po paromiesięcznej korespondencji pewnego dnia dołącza do listu swoje zdjęcie wykonane po aresztowaniu. Po raz pierwszy widzę jego twarz: nie jest zachmurzona, ale krzaczaste brwi, zakrzywiające się ku dołowi, robią ponure wrażenie. Czuję

2 Pierwszy ustęp trzynastej poprawki uchwalonej 18 grudnia 1865 r.: „Ani niewolnictwo, ani praca przymusowa nie mogą być stosowane w Stanach Zjednoczonych ani na terenach pod ich jurysdykcją, z wyjątkiem kary za przestępstwo, które zostało osądzone w prawomocnym procesie”.

ukłucie strachu. Raźniej mi się robi, gdy pomyślę, że siedzi za kratkami.

Jak dotąd nie wspominał o zbrodni.

Dzwonię do Chavy, pytając, czy mogę wpaść do biura Koalicji, żeby przeczytać dokumenty dotyczące Sonniera.

Kiedy przybywam na miejsce, Chava kładzie na stole parę grubych urzędowych segregatorów oraz plik stenogramów z procesu. Mówi, że mogę je zabrać do domu, wyjaśniając, że dokładne stenogramy procesu są badane przez adwokatów występujących w imieniu skazańców podczas odwołania na mocy *habeas corpus*, kiedy sądy federalne sprawdzają, czy w sądach stanowych przestrzegano konstytucyjnych praw oskarżonego. (Rewizje w sądach federalnych dotyczące wyroków śmierci doprowadziły do licznych zmian; w latach 1976–1990 wyrok śmierci cofnięto w 40 do 60 procent przypadków).

Chava mówi, że Sonnier otrzymał tylko dwa listy w tydzień po przeniesieniu do celi śmierci: jeden od sędziego z zawiadomieniem, że wyrok zostanie wykonany za sześć tygodni, a drugi od obrońcy z urzędu, który zawiadamał go, że zakończył pracę. Wyjaśnia, że w Luizjanie obrońcy z urzędu bronią klientów przed sądem stanowym, ale nie podczas rewizji w sądzie federalnym. Chava dodaje, że oczywiście żadnego ze skazańców w celi śmierci nie stać na to, żeby opłacić własnego obrońcę, tak więc łatwo można sobie wyobrazić, jak błagalne są ich telefony z prośbą o znalezienie dla nich adwokata. W naszym stanie odroczenie egzekucji może nastąpić dopiero wówczas, gdy petycja o udzielenie pomocy po wyroku zostanie przedłożona. Werbowanie prawników, którzy zechcą bronić skazańców z cel śmierci – naturalnie za darmo – to jedno z najtrudniejszych zadań, jakie nam przypadły. Takie petycje wymagają

wielu godzin żmudnej pracy. Adwokaci nie pchają się drzwiami i oknami do takiej roboty.

Pytam, kto się na nią godzi.

Chava wyjaśnia, że są to ludzie, którzy wierzą w sprawiedliwość, i dodaje, że czasami nawet adwokaci, którzy są zwolennikami kary śmierci, biorą sprawę takiego skazańca, ponieważ są przekonani, że nikogo, choćby był sprawcą najohydniejszej zbrodni, nie wolno pozbawiać prawa rewizji *habeas corpus*. Dodaje, że ponad połowę adwokatów wynajdują poza Luizjaną, ale adwokat Sonniera jest miejscowy, sam zadzwonił i zaferował, że weźmie tę sprawę.

Nie mam pojęcia o prawnej stronie takich zagadnień. Pat tylko raz mimochodem wspomniał, że otrzymał list od swojego adwokata, a nigdy nie poruszał kwestii prawnych. Dochodzę do wniosku, że musi mieć do niego zaufanie. Skoro adwokat sam zaferował swoje usługi, to zapewne zna się na rzeczy.

Spoglądam na stos dokumentów.

Żegnając się, Chava mówi: Zatrzaśnij drzwi, wychodząc, ja potem zamknę na klucz. – I już go nie ma.

Stenogramy obejmują siedem tomów. Przesuwam je na bok i otwieram segregator zatytułowany „korespondencja”. Znajduję list od Eddiego Sonniera, brata Pata, napisany z lokalnego aresztu: „Nie wiem, czy ci prawnicy, których nam przyznano, cokolwiek robią dla mnie i mojego brata, bo prawie ich nie widzimy. Czy możecie nam pomóc?”

Otwieram pierwszy segregator wypełniony wycinkami z gazet.

Niewiele poszłak w sprawie morderstwa, głosi tytuł na pierwszej stronie „New Iberian” z 7 listopada 1977 roku. Spoglądam

na uśmiechnięte twarze pary nastolatków. Młodzieniec ma roześmiane oczy, a dziewczyna uśmiecha się w zadumie. W artykule jest mowa o tym, jak w piątek przed morderstwem David LeBlanc, lat siedemnaście, oraz Loretta Bourque, lat osiemnaście, byli jeszcze dwiema roześmianymi twarzami w tłumie uczniów katolickiej szkoły średniej, oklaskujących szkolną drużynę futbolową. Każde z nich zabito trzema strzałami w tył głowy z bliskiej odległości strzelbą kalibru 22.

Dzień po odkryciu zwłok w artykule redakcyjnym w „Iberian” napisano: „Trudno sobie wyobrazić w naszej spokojnej społeczności kogoś, kto mógłby żywić zamiar, nie mówiąc już o jego realizacji, tej najpodlejszej z podłych zbrodni”.

Sprawców ujęto po miesiącu. Ich szydercze twarze ukazują się na stronie tytułowej „Iberian” z 2 grudnia: Elmo Patrick Sonnier, lat dwadzieścia siedem, oraz Eddie James Sonnier, lat dwadzieścia. Z artykułu wynika, że braci zatrzymano w areszcie bez prawa wyjścia za kaucją i że sąd wyznaczył im obrońców z urzędu.

Poza oskarżeniem o morderstwo braciom Sonnierom zarzuca się dziesięć porwań z bronią w ręku oraz wyjątkowo okrutny gwałt. Policja ujawniła, że kilka par nastolatków z okolicy zostało już zaatakowanych sześć tygodni wcześniej na lokalnej uliczce dla zakochanych. Dwaj mężczyźni, udający straż porządkową, zarzucali młodym ludziom wtargnięcie na teren prywatny, zakuwali mężczyzn w kajdanki i napastowali kobiety. Policjanci mówili, że większość par była zbyt przestraszona albo wstydziła się zgłosić napad, ale po morderstwie zaczęto się przyznawać, wskazując zarazem na braci Sonnierów jako napastników.

W trakcie procesu przerażający przebieg ostatniego dnia w życiu Davida LeBlanca oraz Loretty Bourque stanął przed

naszymi oczyma: Sonnierowie polowali ze strzelbami na króliki, para zatrzymała samochód w zaułku dla zakochanych, Sonnierowie udali członków straży porządkowej, oskarżyli młodych ludzi o wtargnięcie na czyjąś własność, skuli ich kajdankami na tylnym siedzeniu samochodu, potem obwozili kilometrami po bocznych pustych drogach, w końcu zatrzymali się na opuszczonym polu wiertniczym, zabrali dziewczynę do lasu i zgwałcili, po czym kazali obojgu położyć się twarzą do ziemi.

Ostatnim odczuciem fizycznym, którego doświadczyli, nim zabrzmiały strzały, był dotyk chłodnej, ciężkiej od rosy trawy. Zdaniem lekarza sądowego zgon nastąpił natychmiast.

W zeznaniach braci roi się od sprzeczności. Początkowo Patrick Sonnier powiedział, że zabił młodych ludzi, ponieważ nie chciał wracać do Angoli, w której już w 1968 roku odsiadywał wyrok za kradzież ciężarówki, a obawiał się, że para pójdzie na policję. Przyznał się nie do jednego, ale dwóch, trzech, czterech mordów na przestrzeni paru dni. Zabrali policjantów na miejsce zbrodni i pokazał, w którym miejscu stał, oddając strzały. Ale na procesie zeznał, że przyznał się ze strachu przed policją, a tak naprawdę to jego brat nagle wpadł w szal i zabił nastolatków. Z kolei Eddie Sonnier zeznał na procesie brata, że to Patrick dopuścił się morderstwa, a on bał się Patricka i przyświecał mu latarką, gdy brat zabijał. Obaj przyznali się do porwania, ale Patrick zaprzeczył, jakoby dziewczynę zgwałcił. Eddie twierdził, że jego brat miał stosunek z dziewczyną, on sam także, lecz utrzymywał, że dziewczyna odbyła go dobrowolnie.

W trakcie dwóch odrębnych procesów obu braci uznano za winnych morderstwa i skazano na kary śmierci. Sąd Najwyższy Luizjany zmienił wyrok Eddiego Sonniera, uznawszy, że to Patrick Sonnier pociągnął za spust, a młodszy brat, Eddie, jest

mniej winny. Sąd unieważnił też wyrok śmierci na Patricka Sonniera ze względu na niewłaściwe pouczenia, jakich udzielił przysięgłym sędziom³. Na drugim procesie Patricka Sonniera Eddie oświadczył, że „chce powiedzieć całą prawdę, żeby pozbyć się tego ciężaru”, i przyznał, że to on zabił nastolatków, że stracił panowanie nad sobą, ponieważ chłopak miał na imię David, a krótko przedtem jego dziewczyna porzuciła go dla chłopaka o tym samym imieniu. Coś, co chłopak powiedział, musiało go doprowadzić do szału, coś nim wstrząsnęło, dwaj chłopcy o imieniu David złali mu się w jedno, a ponieważ miał broń w ręku, więc wystrzelił.

Oskarżyciel podważył to przyznanie się do winy, twierdząc, że Eddie Sonnier, któremu nie grozi już wyrok śmierci po rewizji sądowej, najwyraźniej kłamał po to, by uratować brata przed krzesłem elektrycznym. Ława przysięgłych zgodziła się skwapliwie z oskarżycielem i ponownie skazała Patricka Sonniera na karę śmierci⁴.

- 3 Obradując przez pewien czas nad wyrokiem dla Elmo Patricka Sonniera, ława przysięgłych zażądała danych o możliwości przedterminowego zwolnienia Sonniera, aby miał możliwość pracy. *De facto* przepisy wydziału więziennictwa wykluczały skazanych za morderstwo z takich programów, ale sędzia nie miał egzemplarza tych przepisów, toteż z jego wyjaśnień ławnicy wyciągnęli wniosek, że jeśli skazą Sonniera na dożywocie, będzie się mógł ubiegać o takie zwolnienie. Sąd Najwyższy Luizjany uznał wyjaśnienia sędziego za niepełne i wprowadzające w błąd, domagając się ponownego rozpatrzenia sprawy w decyzji 7. 28 I 1980 r.
- 4 Kolejność pierwotnych i ponownych rozpraw Sonniera przedstawia się następująco:
kwiecień 1978 r.: Elmo Patrick Sonnier zostaje osądzony, uznany za winnego i skazany na karę śmierci;
wrzesień 1978 r. – Eddie Sonnier zostaje osądzony, uznany za winnego i skazany na karę śmierci;

W artykułach prasowych przewijają się nazwiska rodzin Bourque'ów i LeBlanców.

„Sonnierowie położyli kres nazwisku LeBlanc”, oświadcza reporterowi Lloyd LeBlanc. Wraz z żoną Eulą są za starzy, by spodziewać się potomstwa. David był ich jedynym synem. LeBlancowie to katolicy, którzy regularnie uczęszczają do kościoła na msze oraz posyłają dzieci do szkół katolickich. Mają jeszcze córkę Vickie, teraz na studiach.

Loretta Bourque była najstarszą córką spośród siedmiorga dzieci Godfrefa i Goldie. Najmłodszy syn, pięcioletni Hubert, urodził się z uszkodzeniem mózgu i nie potrafi chodzić, mówić ani samodzielnie jeść. Pozostaje w dziecięcym łóżeczku w salonie państwa Bourque'ów, rodzina mówi o nim „specjalny aniołek Pana Boga”. Państwo Bourque'owie są głęboko wierzącymi katolikami.

Słońce zachodzi, przez wysokie okna wpada pasmo pomarańczowego światła. Zamykam segregator i zakrywam twarz rękoma.

Chłopak i dziewczyna, młode pączkujące życie, rozkwit. Nagle ucięte. A ich rodzice skazani na to, by do końca życia rozmyślać nad ostatnimi godzinami męczeństwa dzieci, do końca życia drżeć o resztę swojej rodziny, o pozostałe potomstwo, budzić się w środku nocy z koszmarnych snów o przemocy, która im odebrała dzieci.

1979 r. – wyrok śmierci w sprawie Eddiego Sonnieria zostaje uchylony przez Sąd Najwyższy Luizjany;

styczeń 1980 r. – wyrok śmierci w sprawie Elmo Patricka Sonnieria zostaje uchylony przez Sąd Najwyższy Luizjany, który zaleca ponowne rozpatrzenie sprawy;

marzec 1980 r. – Elmo Patrick Sonnier zostaje ponownie skazany na śmierć.

Szczegóły zbrodni przerażają mnie. Czuję się jak kiedyś w dzieciństwie, kiedy próbowałam się wdrapać na karuzelę, ale kręciła się za szybko i spadałam na ziemię.

Chava powiedział, że mogę zabrać dokumenty do domu, ale ja nie chcę. Dość się dowiedziałam. Więcej niż dość. Zostawiam dokumenty na stole, idę w ostatnich promieniach słońca przez pokój, zatraskuję za sobą drzwi, powtarzając słowa Jeremiasza:

„Tak mówi Pan: «Słuchaj! W Rama daje się słyszeć lament i gorzki płacz. Rachel opłakuje swoich synów, nie daje się pocieszyć, bo już ich nie ma»” (Jr 31,15)⁵.

Parę dni później nadchodzi list od Pata Sonniera. Pełen drobnych szczegółów, że płatki na śniadanie były twarde, że ma nadzieję, iż wkrótce dadzą jajecnicę, że pożyczył dzięsieć papierosów sąsiadowi z piętra, żeby mu dać szansę, choć ostatnim razem sąsiad nie odwzajemnił przysługi. Skończył tak jak wszystkie listy, dziękując mi za uczucie, za troskę. Naszkicował i pokolorował zielononiebieską kaczuszkę na kopercie.

Pomiędzy wierszami listów o jajkach, papierosach i codziennej rutynie widzę słowa, których nie wypowiada, rzeczywistość, którą skrupulatnie omija. Nigdy nie wspomina o śmierci, którą szykują mu władze stanowe.

Przestępców w Luizjanie wieszano aż do chwili, gdy legislatura stanowa uchwaliła w 1940 roku, że krzesło elektryczne jest bardziej humanitarne i skuteczne. Wieszanie nie zawsze się udawało. Zakładając pętlę na szyję skazańca, trzeba było właściwie

⁵ Wszystkie cytaty z Pisma Świętego na podstawie: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wyd. 5, Pallottinum, Poznań 2003.

umieścić węzeł, gdyż w przeciwnym wypadku ofiara umierała w męczarniach, dusząc się albo – co gorsza – urywało jej głowę, zwłaszcza gdy odległość stóp od podłogi była nieproporcjonalna do wagi ciała.

Egzekucje na krześle elektrycznym wprowadzono w Stanach Zjednoczonych w 1890 roku w więzieniu Auburn w stanie Nowy Jork, kiedy władze stanowe uśmierciły Williama Kemmlera. „The New York Times” opisał nową metodę jako „elektryczną eutanazję”, a Sąd Najwyższy USA podtrzymał decyzję sądu apelacyjnego, stwierdzając, że śmierć na krześle elektrycznym nie stanowi kary okrutnej ani niezwykłej, dodając: „Współczesna nauka o elektryczności pozwala z łatwością wytwarzać prąd elektryczny o znanej, a dostatecznej mocy, by porażać ciało skazańca, powodując niechybnie natychmiastową, a przeto bezbolesną śmierć”.

Reporter gazety „New World”, który był świadkiem egzekucji Kemmlera, donosił:

Prąd porażał jego ciało przez 15 sekund, po czym zdjęto elektrodę z głowy. Nagle pierś się uniosła. Naprężyły się rzemienie, które go pętały. Usta okryła purpurowa piana, która zmoczyła rzemieniową opaskę na głowie. Człowiek wciąż żył.

Dyrektor więzienia, lekarz, strażnicy... wszyscy potracili głowy. Ktoś krzyknął zdławionym głosem, żeby znów włączyć prąd (...). Smród palonego ciała i osmalonych włosów wypełnił pokój, a przez chwilę na piersiach skazańca igrał błękitny płomyczek. Tym razem prąd płynął przez cztery minuty (...).

Działo się to w 1890 roku.

16 października 1985 roku uśmiercenie Williama Vandivera w stanie Indiana zajęło siedemnaście minut, przy czym pięciokrotnie zwiększano napięcie prądu.

Gdy 22 kwietnia 1983 roku w stanie Alabama uśmiercano Johna Louisa Evansa, prąd przepalił elektrodę na nodze. Elektroda odpadła, strażnicy naprawili ją i ponownie włączyli prąd. Ze skroni i nogi Evansa buchnął dym i płomień, ale mężczyzna jeszcze żył. Po drugiej próbie adwokat Evansa domagał się, by gubernator George C. Wallace wstrzymał egzekucję. Gubernator odmówił. Ponownie puszczono prąd. Evans umierał przez czternaście minut.

Gdy 5 maja 1990 roku władze stanowe Florydy zabijały Jessego Tafero, płomień buchał wysoko ponad kaptur okrywający mu głowę. Kat przerwał standardową dwuminutową egzekucję pod napięciem 2000 woltów, a władze oświadczyły później, że zapaliła się gąbka w podszewce kaptura.

Jedynym człowiekiem, który wstał żywy z krzesła elektrycznego, był siedemnastoletni Willie Francis. 2 maja 1946 roku przywiązano go do przenośnego krzesła elektrycznego w więzieniu w parafii St. Martin w Luizjanie. Kiedy poraził go prąd, opowiadali świadkowie, „wargi mu nabrzmiały, zaczął jęczeć i podskakiwać tak, że krzesło oderwało się od podłogi, po czym powiedział: «Zdejmijcie to. Dajcie mi oddychać»”. Urzędnicy jeszcze parokrotnie włączali prąd, ale Francis nie umarł. Pomogli mu więc wrócić do celi, aby odpoczął po mękach.

Sąd Najwyższy USA, zastanawiając się nad tym, czy ponowne posadzenie Francisza na krześle elektrycznym może stanowić dodatkową „okrutną i nadzwyczajną karę” albo „narażenie na dodatkowe cierpienia”, długo nie potrafił wydać jednomyślnego wyroku. 8 maja 1947 roku urzędnicy więzienni ponownie